

ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

L. W.

PO WYBORACH W ZABORZE PRUSKIM.

A więc kampania wyborcza skończona. Dnia 25-go stycznia odbyła się ostatnia — trzecia serya wyborów ścisłych i dziś już można przystąpić do podsumowania strat i zysków społeczeństwa polskiego oraz do wysnucia pewnych wniosków natury ogólnej.

Organy kierownicze tej części społeczeństwa zaboru pruskiego, która przywłaszczyła sobie monopol reprezentowania „ogółu“ polskiego, przystępowały do wyborów w nadzwyczajnie optymistycznem usposobieniu. Pisma „narodowe“ Poznańskiego i Górnego Śląska liczyły nie tylko na znaczny przyrost głosów polskich, ale i na poważne zwiększenie się mandatów. Uważano za pewne zachowanie dotychczas przez Polaków reprezentowanych okręgów oraz zdobycie dwóch, trzech a nawet czterech nowych, przedewszystkiem na Górnym Śląsku. Ten ostatni traktowano jako prowincyę, już raz na zawsze zdobytą dla wpływów „Koła Polskiego“ bez względu na jego politykę. Przypuszczano, że wpływy te będą się rozszerzały na nowe okręgi z żywiołową siłą, choćby się tam żadnej żadnej pracy organizacyjnej i nawet agitacyjnej nie prowadziło. Sądzono że samo hasło obrony narodowości polskiej wobec ucisku rządowego i coraz to nowych uroszczeń hakatystów wystarczy do zwycięstw tych kandydatów, którzy owe hasło na tym sztandarze wypiszą.

To też optymizmowi temu towarzyszyła bardzo ospale prowadzona agitacya przedwyborcza. Z wyjątkiem Górnego Śląska, gdzie wytężona praca socyalistów zmusiła i zwolenników „Koła Polskiego“ do czynnych wysiłków, na całym obszarze reszty zaboru pruskiego przygotowania do wyborów odbywały się bez żadnego zapału. Jednocześnie zdawano sobie najwidoczniej sprawy ze zmiany sytuacyi politycznej, układającej się dla „Koła Polskiego“ wyjątkowo niepomyślnie.

Nie liczono się zupełnie z nastrojem szerokich mas ludności, zwłaszcza robotniczej. Tymczasem masy te nurtowało głębokie niezadowolenie z całego dotychczasowego postępowania „Koła“, w w Berlinie jego polityka bowiem sprowadzała się do obrony interesów agraryuszy z krzywdą dotkliwą ludności robotniczej i wogóle miejskiej. Głosowania „Koła Polskiego“ za reformą finansów w duchu reakcyjnym, i t. p. postępków szerokie koła ludności polskiej, zwłaszcza na Górnym Śląsku, zapomieć nie mogły. I to tem bardziej, że

jałowość frazesów „narodowych“, doskonale godząca się z popieraniem rządu, uwydatniała się coraz bardziej. Sama wartość tych frazesów obniżyła się też znacznie wobec niewątpliwej zmiany stosunku rządu do Polaków.

W prawdzie system bezwzględnej giermanizacyi nie został naruszony na żadnym punkcie, wprawdzie żadne z najdrobniejszych nawet pożądań narodowych Polaków nie zostało zaspokojone. Ale — z drugiej strony — po szeregu lat, przynoszących coraz to nowe, dotkliwe zarządzenia antypolskie, nastąpił pewien zastój w tej dziedzinie. A niedwuznaczna zapowiedź (chociaż nieoficyalna) sfer rządowych, że z prawa wywłaszczenia Polaków nie będzie się robiło użytku, była nawet czemś w rodzaju ustępstwa. Zastój w wyszukiwaniu coraz to nowych biczów na Polaków osłabił do pewnego stopnia natężenie namiętności narodowościowych. I w rezultacie jedna z pobudek walki o mandaty dla członków „Koła Polskiego — jako obrońców ludności polskiej przed nowymi grożącymi im ciosami — znacznie się nadwątliła.

Można więc było oczekiwać właśnie z tego powodu znacznie mniejszego udziału wyborców w głosowaniu. Z drugiej znów strony można było przypuszczać, że natarcie na kandydatów „Koła Polskiego“ będzie tym razem daleko energiczniejsze niż dawniej. A to z tego powodu, że „Koło Polskie“ faktycznie weszło w skład reakcyjnego bloku czarno- niebieskiego, przeciwko któremu skierował się cały rozpęd agitacyjny wszystkich stronnictw „lewicy“ — od nacyonał-liberałów aż do socyalistów. I z góry było wiadomo, że tam, gdzie głosy socyalistyczne rozstrzygają (a takich okręgów i w zabozre pruskim coraz więcej), padną one raczej na nacyonał-liberała niż na reakcyonistę-ugodowca-klerykała z „Koła Polskiego.“

Tymczasem zwolennicy „Koła“ zupełnie nie doceniali ani usposobienia antyblokowego wyborców, ani naszej siły socyalizmu. Temu ostatniemu poprostu odśpiewano „Requiem“, udowadniając niewiadomo już poraz który, że nie posiada on gruntu wśród ludności. Całą prasę poznańską i górno-śląską obeszła notatka o „zupełnym upadku“ P. P. S. na Górnym Śląsku — notatka, z zadowoleniem przedrukowana i przez wszystkie dzienniki galicyjckie.

Nadeszły wybory — i zadały „Kołu Polskiemu“ straszliwą klęskę. Nie na tem ona polegała, że liczba mandatów polskich zmniejszyła się w ostatecznym rezultacie o 2, zamiast powiększyć się o 2—4. Ale na tem, że spadła gwałtownie liczba głosów, oddanych na kandydatów „Koła.“

Przyjrzyjmy się wynikom wyborów w poszczególnych prowincyach zaboru pruskiego po kolei.

K s i ę s t w o P o z n a ń s k i e. Tu zaszły jeszcze stosunkowo najmniejsze zmiany. Charakter czysto rolniczy tej prowincyi spowodował, że między interesami ekonomicznymi przeważającej części jej ludności a taktyką „Koła Polskiego“ w parlamencie nie było zbyt jaskrawych dysonansów. Agraryusze-ugodowcy są tu żywiołem politycznie panującym, a drobne grupki reprezentujące interesy ludności miejskiej, nie mogą poważnie zaważyć na szali. To też na terenie Poznańskiego tylko w okręgu Krotoszyńsko-Koźmińskim ujawnił się pewien antagonizm w łonie społeczeństwa polskiego. Mianowicie skrajnie konserwatywni wyborcy głosowali nie na d-ra Chłapowskiego, narodowego demokratę, kandydata z ramienia najwyższych władz partyjnych, lecz na p. Lipskiego. Spowodowało to, nieszkodliwe zresztą dla interesów „Koła Polskiego“, rozbicie głosów i wybór ściślejszy, w którym zwyciężył Chłapowski.

Ale i w Poznańskiem, gdzie utrzymano wszystkie dotychczasowe mandaty, liczba głosów polskich zmniejszyła się o przeszło 4000. Właściwie zmniejszenie się głosów polskich jest znaczniejsze, bo wynosi ono 6215, lecz natomiast w kresowych okręgach Poznańskiego zwiększyły się one o 2144. Jeśli mówimy tu o głosach „polskich“, to mamy na myśli tylko te, które uważane są za „polskie“ urzędowo i przez „narodowe“ sfery społeczeństwa polskiego. W rzeczywistości jednak, nie mniej „polskimi“ są głosy, oddane na p o l s k i c h kandydatów socyalistycznych. Przypuściwszy, że z tymi kandydatami głosowali i socyaliści niemieccy, nie popełnimy błędu znaczniejszego, jeśli uznamy je wszystkie za polskie, bo polskie głosy, otrzymane przez socyalistów niemieckich, zaliczamy jednocześnie do niemieckich. Otóż kandydaci P.P.S. otrzymali w Poznańskiem przeszło 4000 głosów — w tem w samym Poznaniu 3574 (w r. 1907 — 1335). Tak więc ubytek głosów kandydatów „Koła Polskiego“ zupełnie wyrównywa się przy doliczeniu głosów polsko-socyalistycznych.

P r u s y Z a c h o d n i e. I tu charakter rolniczy okręgów polskich nie wywoływał wyraźniejszego antagonizmu do polityki ekonomicznej „Koła Polskiego.“ Nie mniej jednakże głosy, otrzymane przez kandydatów „Koła Polskiego“ zmniejszyły się w porównaniu z r. 1907 o 4200. Polskie głosy socyalistyczne żadnej roli tu nie odgrywają. Wskutek zupełnie przypadkowego zbiegu okoliczności „Koło Polskie“ straciło jeden z czterech dotychczasowych mandatów zachodniopruskich-świecki. Przed ogłoszeniem jeszcze wyboru p. Sas-Jaworskiego spostrzeżono, że brakuje mu do większości 2-ch głosów. Wobec tego wyznaczono (jak twierdzi prasa miejscowa, bezprawnie) wybory ściślejsze, i tu p. Sas-Jaworski przepadł.

P r u s y W s c h o d n i e. I na Mazowszu i na Warmii kandydatury polskie nie miały żadnych szans wyboru. Na Mazowszu dopiero w ostatnich czasach budzi się świadomość narodowa polskiej ludności ewangielickiej, na Warmii zaś tylko raz wybrano kandydata polskiego, ale było to podczas „ery ugodowej“ Capriviego (w roku 1893), kiedy kandydat polski był jednocześnie popierany przed rząd. Otóż obecnie liczba głosów polskich w okręgu olsztyńsko-reszelskim zwiększyła się o 913. Na Mazowszu, w trzech okręgach, w których obecnie stawali kandydaci, Polacy, wzrost ten wyraża się cyfrą 2500. tak widzimy więc, że na kresach północno-wschodnich, gdzie idzie dopiero o zaznaczenie samego istnienia ludności polskiej, liczba głosów polskich rośnie, co świadczy o niewątpliwem rozwijaniu się tam świadomości narodowej w masach chłopskich.

G ó r n y Ś l ą s k. Jeśli gdzie „Koło Polskie“ poniosło klęskę prawdziwą, to właśnie na Górnym Śląsku. Straciło tu ono nie tylko dwa mandaty ale jednocześnie około 30.000 głosów. Z sześciu mandatów zdołało uratować tylko jeden (pszczyńsko-rybnicki) w pierwszym dniu wyborów, trzy

zaś musiało zdobywać z wielkim trudem w wyborach ściślejszych. Na tak opłakany wynik złożyło się kilka powodów.

Przedewszyskiem ludność górno-śląska musiała z największą nieufnością traktować agrarną politykę „Koła Polskiego“, znajdująca się w zupełnej sprzeczności z najżywotniejszymi interesami masy robotniczej. Następnie zdrada Korfantego nie mogła nie zniechęcić do ruchu narodowo-polskiego znacznej części jego zwolenników. Dalej zupełne zaniedbanie pracy organizacyjnej wraz z gorszącą walką dwóch klik, waśniących się o wpływy polityczne w obozie polskim, również nie mogło się przyczynić do wzrostu powagi obozu „narodowego“. Wreszcie bardzo energiczna i wytężona praca socyalistów polskich i niemieckich, niemiłosiernie krytykujących całe zachowywanie się „Koła Polskiego“ i jego antyludowej taktyki, zagarniała najbardziej świadome żywioły robotnicze, uprzednio idące za hasłami „Koła.“

To też w pierwszym dniu wyborów byliśmy świadkami wręcz nieoczekiwanych zjawisk. Socyaliści odnieśli tryumf na całej linii, odrywając obozowi „Koła Polskiego“ kilkanaście tysięcy głosów. Mało tego, kandydaci „Koła“ stracili też mnóstwo głosów i na korzyść centrum, co dowodziło faktu, że zniechęcenie do „Koła Polskiego“ jest tak silne, iż ludzie wolą wrócić do swych dawnych kierowników, byle nie mieć nic do czynienia z Napieralskimi i Korfantymi.

Przy wyborach ściślejszych uwydatnił się nieprzejednanie reakcyjny charakter kierowników ruchu „narodowego“ na Górnym Śląsku. Oto, kiedy socyaliści zwrócili się do górno-śląskiego komitetu wyborczego z propozycyą, aby podpisał znane minimalne żądania jenejskie, wzamian za co socyaliści zobowiążą się do popierania kandydatów „Koła“ przeciwko centrowcom, „narodowcy“, odmówili. Woleli stracić dwa mandaty (co się też rzeczywiście stało) aniżeli stwierdzić na piśmie, że stoją na gruncie bezwzględnie konstytucyjnym. Rzucili się natomiast do walki z socyalistami polskimi w okręgu katowicko-zaberskim (gdzie miał się odbyć wybór ściślejszy między Sosińskim a kandydatem P. P. S. Biniszkiewiczem), używając metod, którychby się żaden Puryszkiewicz nie powstydził. Nie mając nadziei na obalenie Biniszkiewicza własnemi siłami, zwrócili się o pomoc do centrum, obiecując mu wzmian za to poparcie w Wesfalii i Nadrenii. Centrum zgodziło się poprzeć Sosińskiego, tłómacząc w swoim organie obozowi klerykalno-niemieckiemu, że Sosiński jest człowiekiem bez żadnego wykształcenia i żadnych własnych przekonań, będzie więc musiał postępować tak, jak mu „Koło“ każe, wobec czego można głosować na niego bez żadnej obawy. No i dzięki głosom centrowców wszedł do parlamentu nie Biniszkiewicz, lecz Sosiński. Fakt zdobycia przez „Koło Polskie“ 4-ech mandatów na Górnym Śląsku nie jest w stanie zatrzeć wrażenia straty 30.000 głosów, z których przeszło połowa padła na socyalistów.

W y c h o d ź t w o. Wobec rosnącego z roku na rok wychodźtwa polskiego w Niemczech, zwłaszcza na zachodzie, w Wesfalii i Nadrenii, utarł się zwyczaj, że i tam stawiane są kandydatury polskie. Żadnego poważniejszego znaczenia to niema, a nieraz jest nawet szkodliwe, ponieważ przez odebranie głosów polskich socyalistom umożliwia się dojście do wyborów ściślejszych, a czasem i do zwycięstwa hakatyście. Tymczasem ogólna liczba głosów polskich na obczyźnie wzrasta do 45.000, z których przeszło 40.000 padło w Westfalii i Nadrenii. Przy wyborach ściślejszych głosy te zostały otrzymane przez centrowców.

* * *

BENEDYKT HERTZ.

KABOTYN.

NOWELA.

Na ławce sąsiedniej Antonina Szablichna, koturnowa bohaterka, sprawdzała zawartość żółtego pudła.

— Szkoda, że pani wzięła tę rudą perukę — mówiła zaglądając jej przez ramię, Brawiczowa, czterdziestoletnia, szykowna jeszcze piękność. — Wygląda w niej pani strasznie. Aż mi żal było...

— Siebi samej, — wtrącił ni stąd ni zowąd Wacek.

Dziewczęta zachichotały.

— A co jej brakuje? — zapytała spokojnie. Antonina.

— Nie wiem, ale źle w niej pani.

— Ta hybaj stara! — zawołał znów Wacek. Antka, nie słuchaj ji. Podobałaś się w tej peruce Staszkowi, więc ją życzliwość rozbira.

Brawiczowa zerwała się, jak wystrzelona.

— Panie, pan jesteś... pan jesteś... — dech jej zaparło.

— Ta joj, wim, wim, co babcia chcesz powiedzić; nie trza fatygi.

Dziewczęta, otaczające Wacka, aż się zanosiły ze śmiechu.

Wstał, poprawił garderobę i przysiadł się do Brawiczowej.

— Proszę odejść! — zawołała, grożąc patrzałką.

Szepnął jej coś do ucha bardzo poważnie. Odwróciła się, obrażona i udawała, że nie słyszy. On szeptał dalej. Po pewnym czasie spojrzała nań raz i drugi, aż wreszcie zaczęła chichotać.

— Dureń!

— Tak i trza było odrazu, po przyjacielsku! — wołał, klepiąc ją poufale w kolano.

— Widzisz, stara, jesteś typowa kabotynka, bo masz zawsze fałszywe apetyty. Co ci po Staszku? Ot, weź Jóżwińskiego.

Ten drzemał już, ale usłyszawszy swe nazwisko, warknął:

— Nie rusz go, szczeniaku.

— Ta joj, ktoby się na stare gnaty łakomił. Spij, papuńciu, śpij. Widzisz Brawciu, każden ma

Taki jest obraz wyborów ostatnich. Skutkiem porażki, poniesionej przez blok czarno-niebieski rola „Koła Polskiego“ i jego 13 członków może nabrać w nowym parlamencie niemieckim specyalnego znaczenia. Albowiem bardzo często od ‚Koła Polskiego“ będzie zależał los tych czy innych wniosków. To też o pomoc „Koła“ mogą się ubiegać rozmaite frakcye. Ale trudno przypuszczać, aby ta szczęśliwa sytuacya została wyzyskana przez członków „Koła“ na korzyść interesów narodowych szerokich warstw ludności polskiej. Raczej można się spodziewać, że zostanie ona użyta za pretekst do nowych eksperymentów ugodowych...



J. KRZESŁAWSKI.

ŻYCIE POLITYCZNE MŁODZIEŻY.

I.

Że każdy obóz polityczny, każde stronnictwo usiłuje dla swych poglądów młodzież pozyskać, rzecz to dobrze znana. Kto chce żyć nietylko dziś, lecz jutro, musi szukać we wstępującem w szranki życia pokoleniu wykonawców swego programu. I jeżeli czasem rozlegają się głosy, występujące przeciw udziałowi młodzieży w życiu politycznem, to mamy tu napewno do czynienia nie z teoretycznem stanowiskiem, lecz z poglądem, wyrosłym na tle katzenjammeru politycznego. Temu, komu wymknęło się przewodnictwo nad młodzieżą, które przez lat wiele piastował, nie pozostaje nic innego, jak powiedzieć: „kwaśne winogrona“, przystosować do smutnej dla siebie rzeczywistości ukuty „ad hoc“ pogląd teoretyczny; taki sens mają głosy o młodzieży, rozlegające się dziś tak często na łamach prasy narodowo-demokratycznej.

Dużo się dziś pisze o młodzieży i nic dziwnego. Młodzież żywo się rusza i każe o sobie mówić. W Galicyi przeciwstawia się ostro rządowej polityce szkolnej i zmusza sfery do liczenia się ze sobą. W Królestwie młodzież pierwsza — mowa tu oczywiście o młodzieży w szkołach średnich, bo innej Królestwo nie posiada — otrząsa się z przygnębienia i apatyi, jakiej uległo pokolenie starsze; ona jedna utrzymuje bojkot, dla którego obojętnieją coraz bardziej starsi; ona jedna nie boi się pracować nielegalnie, choć wychowuje się w atmosferze, w której wszyscy własnego cienia się boją — jednem słowem, zmusza każdego do zadania sobie pytania: czem jest ta młodzież, do czego dąży i czego po niej spodziewać się należy? Za granicą rozbrzmiewa hucznie sława stowarzyszeń filareckich, przez jednych wysoko stawianych, przez drugich znienawidzonych i chrzczonych mianem „neoromantyków“ politycznych, nie liczących się z rzeczywistością. Dużo się o tem wszystkiem mówi

---

swoją specyalność. Ja jestem od tego, żeby mnie wszystkie lubiły, a żadna nie kochała. Antek musi napoczynać każdą nową krowientę i brać pensyonarki na improwizacyę Konrada, której sam nie rozumie, choć ją mówi z przejęciem i w stosownej peruce. Franek jest od dziewic sentymentalnych, ale doświadczonych; często spadkobierca Antka. Staszek ma prywatną narzeczoną, więc jest samolub. Któż ci pozostał? Chyba Ćwik.

Ten stał przy oknie, wpatrzony bezmyślnie w migające słupy i wlokącą się za niemi czarną równinę, pokrajaną miejscami i pozłoconą kwadratami rżysk.

Obrócił się.

— Chcesz, Józek Brawcię?... to was wyswatam.

— Mnie swatów nie potrzeba. Mam dość kobiet i bez tego.

— Co za kobiet? Dziewki!

— Nieprawda... łżesz... — wybełkotał Ćwik.

— Wiecie, pyszny kawał o nim słyszałem. Spotykał jakąś Milkę; przez jeden miesiąc wzdychał; przez drugi pisał wiersze; przez trzeci posyłał w ogrodzie kwiaty: w czwartym miesiącu zapoznał się z nią, wziął na odwagę i spytał, czy można odwiedzić. Dała mu swój adres. Poszedł. I domyślcie się, gdzie trafił...

Śmiech ogólny przerwała stacya.

Mężczyźni pozdejmowali swe walizki, a kobiety podniosły pisk o „pakiera“.

*

Przez dziesięć dni Ćwik bardzo tęsknił i niepokoił się, a biegając po ulicach w chwilach wolnych od prób i spektakli, obmyślał scenę powitania.

Przyjdzie, ujmie za rękę. Ręka ta zadrży.

Wtedy stanie groźny i rzeknie: „Pokaż oczy; patrz mi w twarz“.

A ona się przerazi i zawoła: „Cóż to za straszna przemowa?“.

— Powiedz mi coś ty za jedna?

— Twa żona, panie, wierna twoja żona.

— O, Desdemono, precz! precz!

Bardzo ładna scena i można ją ślicznie zagrać.

Po ostatniem przedstawieniu pobiegł czemprędzej do hotelu, spakował manatki i wyjechał nocnym pociągiem, nie czekając na kolegów, którzy pozostali do jutra rana.

Wejdzie, ujmie za rękę. Ręka ta zadrży.

Tak marzył, jadąc i stopniowo uspakajał się, bo ostatecznie, gdyby Otello nie był taki waryat, wszystko byłoby się dobrze skończyło.

i pisze, a prawdą niewątpliwą jest to tylko, że w poglądach młodzieży nastąpił przełom, którego rezultaty przetrwają może niejedną chwilę.

Do tej pory, bez względu na odcienie przekonań politycznych, młodzież dzieliła się według szablonowej nomenklatury, na dwa odłamy: narodowców i postępowców. Pod te słowa podkładano różne pojęcia, zależnie od okresu. Dziś postępowcem mógł być wielbiciel Haeckla i Darwina, jutro socyalista-teoretyk, rugujący pojęcie narodowości, pojutrze ludowiec, to znowu rewolucyonista, czasem tylko przeciwnik klerykalizmu, albo tak zwany „etysta", pouczający wszystkie obozy polityczne, że bez zasad etycznych do niczego nie dojdą.

Dziś podział ten należy do przeszłości. Między narodowców a postępowców wcisnął się klinem obóz niepodległościowo-postępowy, czyli filarecki, poddając rewizyi dotychczas wyznawane przez młodzież hasła. Powstał on wśród niektórych stowarzyszeń zagranicznych, budząc zrazu nieufność, i wreszcie rozszerzył się po wszystkich trzech zaborach, opanował zagranicę i stał się w krótkim czasie zgrupowaniem mocnem, w całem tego słowa znaczeniu. Dziś obóz filarecki, jak wykazano przed miesiącem na III paryskim Zjeździe, liczy przeszło 500 członków i rozwija wielką działalność.

Ogromnym błędem byłoby przypisywać powstanie Filarecyi sztucznym wpływom zewnętrznym. Faktem jest, że potrzeba takiego kierunku istniała i że nie da się on pomieścić w jakichś ścisłych ramkach. Gdy zbankrutowały doszczętnie hasła nacyonalistyczne, otwierając każdemu oczy na to, co kryje frazes o solidarności narodowej, gdy młodzież t. zw. narodowa odwróciła się z pogardą od swych przywódców, a gruntu pod nogami nie znalazła, bo uczono ją tylko frazesów, a nigdy tego, w jakim stosunku pozostaje nasza treść uczuciowa do objektywnych warunków życia społecznego, obóz młodzieży narodowej przestał być siłą przyciągającą: stał się areną dla walk politycznych nacyonalistów różnych odcieni i musiał rozbić się na parę części. On, który przez tyle lat zapewniał, że pragnie pod dachem swych stowarzyszeń zgrupować całą polską młodzież, aby dać jej pole do swobodnej dyskusyi, nawet nacyonalistów nie był w stanie zgodzić.

Drugi obóz, postępowy, w którym rej wodzili od dłuższego już czasu socyaliści, musiał utracić wpływ od chwili, gdy przeciwstawić się jął hasłom narodowego wyzwolenia. W chwili, gdy na tle strasznego ucisku, tak dalekiego od nadziei r. 1905, tej wiosny ludów, przez carat ujarzmionych, wybuchnęło żywiołową falą długo tłumione uczucie patryotyczne, młodzież ze Związków postępowych uparcie się trzymała tradycyi 1905 roku, gdy oczy się miało li tylko na Wschód zwrócone. Ona nie umiała się zmienić, nie umiała spojrzeć na życie inaczej, niż ją nauczono i życie przeszło nad nią do porządku dziennego, wydarło jej hegemonię i oddało innym, bardziej czujnym na tchnienie ducha czasu, nowym ludziom, pogrobowcom rewolucyi.

Filarecya — to próba syntezy poglądów. Czy praca jej członków syntezę tę stworzyć zdoła, aby ona stała się pokarmem duchowym dla wielu, idących w świat, a łaknących „myśli z nieba", czy zatryumfuje w niej li tylko eklektyzm wygodny, czas to pokaże. Dziś już jednak stwierdzić można, jak niesłuszne są zarzuty tych, którzy zarzucają Filaretom oderwanie od życia. Stoją oni twardo na gruncie łączności z ruchem robotniczym, obozom nacyonalistycznym przeciwstawiają się jaskrawo i niedwuznacznie, a zarzut fantastycznego poglądu na możność zrealizowania dążeń wyzwoleńczych narodu polskiego, tylko przez historyę rozstrzygniętą być

Z walizką w ręku stanął w ciemnawym kurytarzu i śmiało zapukał do drzwi.

Nic. Cisza.

Zapukał jeszcze raz, potem huknął pięścią i załomotał klamką.

Wszystko napróżno.

Postawił walizę i zbiegł do stróżki.

— Pani w domu?

— Bo ja wiem? Wczoraj we dnie wróciła, ale czy została na noc?...

Jął się znów drapać na górę. W tem, gdzieś drzwi zatrzaśnięto i Ćwik usłyszał ciężkie kroki. Schodził ku niemu mężczyzna z twarzą, zakopconą mrokiem, w kapeluszu z dużem rondem.

Ćwik poczuł w sobie tygrysa. Sięgnął do kieszeni i ścisnął wilgotną chustkę do nosa.

— Pan skąd? — szepnął zachodząc drogę.

Zamiast odpowiedzi nastąpiło mocne uderzenie w piersi. Stoczył się z kilku schodów, a kapelusz przeleciał przez poręcz.

Tamten krzyczał już z dołu:

— Co to jest? Kogo wy na schody puszczacie? Jakiś bandyta ludzi zaczepia!

— Stefka, otwieraj, otwieraj...

Na dole pomieszały się głosy. Odezwał się gruby baryton stróża i piskliwy sopran jego piękniejszej połowy. Wreszcie schody zaczęły trzeszczeć pod nogami naprędce zorganizowanej obławy.

Nagle sięgnął pod słomiankę i znalazł tam klucz.

Wpadł do pokoju i drzwi prędko zatrzasnął.

Rozejrzał się. Stefki nie było.

Na stole, na wymiętoszonej i zalanej serwecie, pozostały ślady wesołej libacyi. Pudełka od sardynek rozdziawiały szeroko wypróżnione wnętrza. Na talerzach czerwieniły się i żółciły resztki wędliny, sera, masła i owoców. Pękata karafka z pozostałością zielonej wódki wyciągała długą, cienką szyjkę; a pośrodku leżała przewrócona baba z oderwanym wierzchem. Wypróżnione i napoczęte butelki piwa, pokruszony chleb, szklanki, kieliszki rozlazły się po oknach toa lecie.

Najrozpaczliwszy jednak widok przedstawiało łóżko, z którego spływała na podłogę mocno wytarta kołdra, odsłaniając prześcieradło, skopane aż do nagiego materaca.

*

Gdy Ćwik wszystko to sobie przypomniał, uznał, że Stefka nie jest odpowiedniem towarzystwem dla młodej przyzwoitej panienki. Postanowił też Cesię ostrzedz.

może. Rozumniejsi z pośród Filaretów nie mówią o swych bliższych celach nigdy, jako o pewniku politycznym, nie ulegającym dyskusyi. Pragną tylko być przygotowanymi na wszelkie ewentualności, aby ich chwila dziejowa nie zaskoczyła, a jasność oryentacyi co do celów, do jakich Polak dążyć może i powinien, opiera pracę na gruncie bardzo silnym, nadaje działaniu śmiałość i rozmach.

W czasach dzisiejszych, gdy rozgrywają się przed naszemi oczyma doniosłe wypadki, jak grom bijące w stępioną wyobraźnię ludzi, do młodzieży i do jej pracy winno się przystępować z czem innem, niż z ironicznym i sceptycznym uśmiechem, illustrującym tak wymownie tragedyę „śmiesznej polskiej nędzy“!

Wyspiański w jednym ze swych pośmiertnych utworów, na żądanie ogółu, aby zawsze głos jego, nawołujący do rwania więzów, brzmiał donośnie, budził żywych i martwych i nie tracił nigdy na świeżości, odpowiada gorżkim wyrzutem:

„lecz nie spostrzegli snać,
żem dość już długo gadał,
by *siły chóru znać*,
by *chór mi odpowiadał*“!

Dziś w odpowiedzi na pobudkę Wyspiańskiego rozbrzmiewa już chór. Jest to na razie chór młodzieży. Obok młodzieży stoi nieliczna garstka. Może niedługo liczniejsze zastępy odpowiedzą poecie donośnem echem.

A. KALLAS.

SZCZĘŚLIWE POROZUMIENIE.

Zdawać by się mogło, że oto nareszcie w akcyi kobiet, prowadzonej dla wywalczenia równych praw politycznych, nastąpiła konsolidacya wszystkich tejże sprawy stronników, szczęśliwe porozumienie na całej linii.

...„Petycyę wniesioną do krakowskiej Rady miejskiej przez szereg krak. stowarzyszeń kobiecych dla rozszerzania praw wyborczych kobiet, podpisały między innemi *Polski związek niewiast katolickich*, oraz *Stowarzyszenie nauczycielek*, fortecy jeszcze przed paru laty nie do zdobycia, gdy szło o polityczne równouprawnienie kobiet“ — tak pisze pani Bujwidowa w artykule: „Krok naprzód“, drukowanym w „Głosie Kobiet“, dodatku „Kuryera Lwowskiego“ (nr. 32).

Tryumf nielada...

Równocześnie prawie, dwadzieścia lwowskich stowarzyszeń kobiecych rozmaitych odcieni partyjnych, polskich i ruskich, solidarnie podpisuje

---

W owocarni było sporo gości, więc nie wszedł odrazu, ale czas jakiś spacerował przed sklepem.

Jeszcze tylko jakiś student siedział; a choć wziął paczkę i zapłacił — nie wychodził, lecz gadał, uśmiechając się bezczelnie.

— Smarkacz — pomyślał Ćwik i otworzył drzwi z brzękiem.

— Więc w piątek, dobrze? — szepnął student i usunął się na bok.

Ćwik uścisnął Cesi rączkę i dał do zrozumienia, że ma powiedzieć coś bardzo ważnego, w najgłębszej tajemnicy. Przeszła ku drugiemu końcowi bufetu. Dyskretnie wręczył jej kontramarkę do krzeseł.

— Niech pani tego znajomym nie pokazuje — szeptał, nachylając się ku dziewczynie tak, by student widział, że łączy go ze sklepową stosunek wyjątkowo bliski. — My wolnych biletów nikomu, absolutnie nikomu nie dajemy. Pani jedna...

— Dziękuję...

— Proszę tak głośno nie mówić, bo ten tam może się domyśleć.

Zamilkli. Ćwik chciał powiedzieć jeszcze jedną ogromnie pilną tajemnicę, ale jej na razie nie mógł sobie przypomnieć. Cesia zaś tak rozszerzała nozdrza, jakby uważała, że jej szczerze ziewnąć nie wypada.

— List odebrałem — powiedział w końcu Ćwik tajemniczo i poważnie.

Student chrząknął, kiwnął głową i wyszedł. Ćwik przeprowadził go do drzwi wzrokiem pogromcy. Pozbywszy się krępującego świadka, usiadł, wytarł monokl i rozpoczął przemowę od tego, że Cesia nie powinna go tytułować gołąbkiem, zbyt krótko znając.

— Dziewczę młode, cnotliwe — jąkał się zapłoniony — musi bardzo ostrożnie traktować mężczyzn, pomiędzy którymi jest wielu takich, jak ten, co wyszedł.

— Pan jego zna?

— Donżuan jakiś... Odrazu to widać.

Na to Cesia zauważyła, że była na tej operze, ale on tam nie pokazywał. Ćwik wyjaśnił nieporozumienie i przeszli do kwestyi teatralnych. Wkrótce dowiedział się, że panienka jest szczerą wielbicielką sztuki scenicznej, tylko „nie lubi, jak strzelają“. Uznał to za dowód wytwornego smaku i spytał, czy nie chciałaby zostać artystką. Dlaczego nie i owszem... Więc obiecał poparcie, a ona z radości poczęstowała go szklanką wody sodowej z sokiem ananasowym.

Lody zostały złamane i nareszcie Ćwik zdecydował się wbić klin pomiędzy Cesię i jej nieodpowiednią przyjaciółkę. Poszło to łatwiej, niż prze-

się na petycyi wniesionej podczas obecnej kadencyi Sejmu, z żądaniem czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego dla wszystkich obywateli bez różnicy płci.

Zatem... chyba dwa kroki naprzód.

Jakże atoli przedstawia się sprawa poza tą manifestacyą?

Nad petycyą przedłożoną Sejmowi przez niestrudzone delegatki dwudziestu stowarzyszeń kobiecych we Lwowie, przejdzie się i teraz do porządku, — o tem wiedzą już kobiety politycznie choćby trochę uświadomione; z akcyi zaś wszczętej przez panie krakowskie o ile się to odnosi do owych fortec niedających się dotąd zdobyć, — niema znów czego tak bardzo się cieszyć, bo puszczono tu poprostu wodę na młyn konserwatystów tamtejszych.

A konserwatyści krakowscy mają w swoim obozie wytrawnych parlamentarzystów, doświadczonych polityków i zręcznie politykujących księży; — oni tam nie popełnią takiej nierozwagi, jaką tu we Lwowie popełnił wobec wręczającej petycyę deputacyi kobiet, hrabia Badeni *junior*.

— Ja dla pań zawsze jestem grzeczny — rzekł tenże — ale... czy nie sądzą panie, że to wszystko czego się domagacie, jest śmieszne?... I... czy panie, które tu z petycyami takiemi tak wytrwale przychodzą, nie są królowemi w domu?... Ja niczego nie przyrzekam i powiem paniom, co o tej sprawie myślę: nad tem przejdzie izba do porządku.

Nazwałam tę odpowiedź nierozwagą, bo zręczny polityk nie wypowiada przedewszystkiem głośno swoich myśli, — powtóre: od tego jest dyplomatą, aby przyrzekał, choć wie, że nie może dotrzymać słowa; po trzecie: jeśli się chce rządzić, to trzeba umieć zyskiwać sobie stronników, a nie zrażać ich sobie.

Konserwatyści krakowscy są już rozważniejsi; mają w swoim obozie „rozumnych księży", a oni oryentują się zawsze doskonale i prędko, — a zwłaszcza ci z nich, którzy znają dokładnie historyę Kościoła Katolickiego. Oni wiedzą, że kobiety i teraz, choć same żadnej organizacyi nie stworzą, to jednak dadzą się użyć jako wyborny materyał, z którego oni budować mogą.

I oto dlaczego tak skwapliwie w obecnym ruchu feministycznym ci „rozumni księża" stanęli po tej stronie. I oni to właściwie, ci „rozumni księża" kierowali wiecem kobiet w Krakowie, odbytym w połowie stycznia b. r. (skromnie ukryli się w cieniu, za niewiastami).

Powtarzam: niema znów z czego tak bardzo się cieszyć, że krakowskie stowarzyszenia: Czytelnia dla kobiet, Polski związek niewiast katolickich i Stowarzyszenie nauczycielek, tak solidarnie podpisały petycyę z żądaniem praw politycznych dla kobiet. Jest to jedynie przeciwstawienie się organizacyi polskich socyalistek, która to organizacya z dniem każdym zyskuje coraz więcej członków i pośród inteligentek, a co ważniejsze, wśród mas ludowych, proletaryackich. Szczególniej krakowska organizacya kobiet P. S. D. pod przewodnictwem dzielnych, wyszkolonych w pracy partyjnej prowodyrek wypowiedziały się w kwestyi politycznego równouprawnienia znacznie skrajniej, aniżeli panie z Czytelni i Katolickiego związku, — stanęły na tym samym stanowisku, co ich towarzysze partyjni. Stworzyły też szkołę partyjną dla kobiet (na wzór tej dla mężczyzn) a z tych kursów, trwających po kilka miesięcy, wyjdzie rok rocznie sporo uświadomionych agitatorek, które robotę partyjną poprowadzą dalej. Organizacya ta połączyła się z organizacyą śląską i wspólnie wydają pismo dla kobiet. Tam przygotowuje się armię i zbiera pie-

---

widywał. Gdy tylko napomknął, że Stefka jest towarzystwem niestosownem dla skromnego dziewczęcia, Cesia wzruszyła ramionami i z godnością oświadczyła, że jej „nie zależy na tym tłomoku".

Ćwika nieprzyjemnie dotknął epitet (dany jego b. żonie); niemniej jednak wyszedł ze sklepu rozmarzony.

*

W domu znalazł list aż z Łomży.

„Kochany Józiu! — pisała Klementyna. — Jeżeli chcesz, mogę do Ciebie wrócić. Przekonałam się, że ty jeden naprawdę mnie kochasz. Mąż, chwała Bogu, zdrowszy i znów się łajdaczy".

W głowie mu zaszumiało. Możność odzyskania Klementyny wytrąciła go z równowagi. Stosunek z nią, prócz wielu intymnych satysfakcyi, pochlebiał suflerowi. Klementyna była mężatką, prawdziwą mężatką, żoną głośnego aktora, Kaliksta Witeckiego, rozrywanego przez wszystkie sceny prowincyonalne.

W Ćwiku obudziła sympatyę, bo była sentymentalna, niegłupia, tłusta i bardzo nieszczęśliwa. Stołował się u niej czas pewien. Jadali sami, we dwoje, bo Witecki w domu bywał rzadko. Z zasady, jak mówił, lubił knajpę i czternastolatki. Pani Kalikstowa wywnętrzała się ze swych zmartwień przed Ćwikiem; ten również chętnie otwierał przed nią rany swej duszy. Aż któregoś obiadu popłakali się jedno na piersiaah drugiego i postanowili cierpieć we dwoje.

Witecki, dowiedziawszy się o tem, zrobił scenę więcej dla przyzwoitości, niż dla czego. Potem przyniósł kilka butelek wina i gdy wszyscy troje byli już mocno uspokojeni, spisano umowę:

Dokument, który otrzymał Ćwik, miał takie brzmienie:

„Ja, niżej podpisany, odstępuję dobrowolnie prawą swą małżonkę, Klementynę, za jej zgodą, p. Józefowi Ćwikowi z tem zastrzeżeniem, że jeżeli nie spełni on względem tejże Klementyny następujących warunków... (tu wyliczono długi spis obowiązków dobrego męża)... taż Klementyna będzie miała każdej chwili prawo opuścić go i wrócić do swego prawego, niżej podpisanego małżonka".

Ćwik był z nią bardzo szczęśliwy. Ale razu jednego zaczął planować wyjazd do Ameryki, bo stracił „engagement" i długo nie mógł znaleźć nowego.

Witecka oparła się temu projektowi, bo „jakże! — mówiła — miesiącami mam czekać na listy od męża?..." A ponieważ Ćwik projekty zamorskie snuł w dalszym ciągu, pewnego pięknego poranku wyjechała, gdy był na próbie, co jej przyszło tem łatwiej, że mąż bawił o trzy godziny drogi.

niądze. Da się też już teraz przewidzieć, że wspomagane przez partyę, uświadomione i dobrze zorganizowane, mogą one zaważyć na szali podczas najbliższej konstelacyi politycznej.

I oto czemu tak skwapliwie organizują się niewiasty katolickie, a raczej czynią tak z niewiastami ci, którzy chcieliby tamtej organizacyi przeciwstawić drugą, niemniej silną organizacyę: społecznic chrześcijańskich.

Zrozumiałem się więc staje, że na krańcowo przeciwległych platformach rozwinie się akcya systematycznie i wytrwale prowadzona.

Centrum zaś, jak to zawsze i wszędzie bywa, ma ruch jakby sparaliżowany. Stowarzyszenia kobiece, te właśnie z centrum, — czy mienią się być postępowemi, czy narodowo-demokratycznemi, są tak mało czynne w stosunku do programu pracy, jaki w początkach powstawania swego wywiesiły, — że już nawet wśród własnych członków spotykały się z krytyką, że są ciaśniejsze, aniżeli ich program.

A dzieje się w tych stowarzyszeniach niedobrze, choć nie powiem, że coraz gorzej. Lecz jeśli nie jest coraz lepiej to już źle. Organizacya, która przez lat kilka lub kilkanaście (tembardziej!) swego istnienia, nie zdołała skupić wokoło swego sztandaru pokaźnej masy członków, musi być uznaną za wadliwą i albo wymaga rekonstrukcyi, albo trzeba na jej miejsce stworzyć nową, inną.

Lecz jakże to u nas zabierają się te panie z centrum do tworzenia organizacyi?

Znana na gruncie galicyjskim działaczka w sprawie politycznego równouprawnienia kobiet, p. Marya Dulębianka zwołała zgromadzenie, wzywając kobiety ze Lwowa i z prowincyi, aby przystąpiły do akcyi i wspólnie stworzyły wielką organizacyę obywatelskiej pracy kobiet.

Zdawać by się mogło, że pod tym hasłem zwołane zgromadzenie będzie wprost imponujące; tymczasem zjawiło się zaledwie pań dwadzieścia kilka.

Gdzież więc są te szeregi kobiece z centrum, które mają przystąpić do wspólnej pracy? Istniejące już stowarzyszenia kobiece dały niedwuznacznie do zrozumienia, że pod rządy autokratyczne nowej organizacyi nie pójdą. Ogół kobiet pozostał głuchy i niemy na odezwę p. Dulębianki — i zgromadzenie publiczne przez nią zwołane, odbywało się wśród „samych swoich“ w bardzo ciasnem kółku.

A teraz zapytuję znów: gdzie są fundusze, aby przystąpić do realizacyi tych planów, które p. Dulębianka na owem zgromadzeniu rozwinęła? Mówiła bowiem o konieczności budowania własnego domu dla tej organizacyi kobiet — o założeniu własnego dziennika, szkoły sztuk pięknych, szkoły przemysłowej, kursów rolniczych dla kobiet, kasy emerytalnej dla kobiet. Dalej ma się ta nowa organizacya kobiet zająć reformą szkół, reformą małżeństwa i kodeksu cywilnego. Wreszcie... założyć wielką pralnię spółdzielczą.

Jest w tym ostatnim punkcie programu niezamierzona zapewne ironia. Ta pralnia spółdzielcza wygląda mi na *point'ę* całego programu.

Czy w tej pralni kobiety będą miały prawo czy obowiązek prać wszystkie brudy galicyjskie, nagromadzone tu od lat dziesiątków?

Wygląda ten program na zasypywanie oczu piaskiem, a we Lwowie ponoś piasku i tak już za wiele.

Pięknie mówiła Dulębianka, ale smutno było słuchać.

Jesteśmy wszyscy wspaniałymi teoretykami.

Bo i jakże n. p. w praktyce wygląda tak szumnie i tak dumnie ogłaszany tryumf, że kilkadziesiąt delegatek aż dwudziestu lwowskich stowarzyszeń poniosło do Sejmu petycyę z żądaniem

---

Józef przez dwa dni pukał głową w ścianę, a na trzeci poszedł do kąpieli, przebrał się na kawalera do wzięcia i próbował przed wieczorem robić furorę w ogrodzie miejskim. Że mu się to nie udało, był bardzo zadowolony, bo Klementyna wróciła po kilku dniach i miałby się z pyszna, gdyby zastała następczynię.

Drugi i ostatni raz porzuciła Ćwika, gdy dowiedziała się, że mąż kaszle.

Ponieważ nie był to motyw, przewidziany umową, sufler napisał obszerny list i obraził się. Nie odpowiedziała. Wobec tego, doniósł jej telegraficznie: „Ja też kaszlę“. Ale i to nie poskutkowało.

Tym razem cierpiał mocniej, niż poprzednio. Do Klementyny bardzo się już był przywiązał, a nadto szarpało jego ambicyę to, że przecież nie dał żadnego powodu.

Przez kilka dni chodził z nabitym rewolwerem, pożyczonym od rekwizytora, i pokazywał go w wielkiej tajemnicy koleżankom. Aż mu jedna z nich instrument odebrała, bo — jak mówiła — „jeszcze ten karabin w budzie strzeli i publiczność dostanie paniki“.

Odtąd Ćwik długo jeszcze opowiadał pocichu rozmaitym, że najpraktyczniejszą trucizną jest sinek potasu.

Długo bił się z myślami, co robić?...

Ogarnęła go w jednej chwili mocna za Klementyną tęsknota, połączona z urokiem wszystkiego tego, co już minęło. Nadto — jakby to pochlebiało jego miłości własnej, gdyby wróciła... Wszyscyby widzieli.

Postanowił w każdym razie list kilku osobom pokazać w wielkiej tajemnicy.

Ale co począć z Cesią? Tyle naobiecywał, tak wyraźnie dał już jej do zrozumienia, że jest dlań jedyną... Dziewczę z taką ufnością spoglądało mu w oczy swymi przeczystymi habrami...

Nie, za późno, za późno.

Więc tak napisał do Witeckiej:

„Niezapomniana! W kulisach mojej duszy wspomnienie o Tobie jest wciąż najcudniejszym krajobrazem. Ale życie nie jest sztuką, do której można stosować dowolnie tę lub ową dekoracyę. Życie jest samo przez się, samo w sobie dramatem i autorem. Wiesz, że dla kobiety, którą kocham, potrafię być najmizerniejszym rekwizytem, dywanem jej nóg... Niech depce. Ale nasza godzina jeszcze nie wybiła. Musimy cierpieć. Oboje — cierpieć w rozłące. Jedynie w marzeniach wolno mi cieszyć się Tobą i kochać. Nieszczęśliwy“.

(D. C. N.)

prawa wyborczego dla wszystkich obywateli bez różnicy płci... Nie powiem, że był to strzał chybiony, jak twierdzi wielu, — ale z całą stanowczością nazwę ten krok czemś takiem, co ma tylko znaczenie teoretyczne, *notabene* w obecnych warunkach.

Tutaj mogę trafić na nieporozumienie, więc obszerniej tłómaczyć się będę. Otóż jest tak, że te panie z centrum, które dążą u nas do wyzwolenia kobiet, same wyzwalają się dopiero (nie biorę w rachubę wyjątków bardzo nielicznych). W życiu politycznem hospitantkami są, — a więc takie hospitacye może je czegoś nauczą. Zrozumieją przedewszystkiem, że dla wywalczenia praw, które objąć mają nietylko uprzywilejowane warstwy i kasty, lecz masy całe, — nie petycyonować trzeba i na dyplomatyczne chodzić konferencye — ale rozagitować należy masy kobiece, jak socyaliści rozagitowali masy ludowe i wciąż nad nimi pracują.

Tylko wielkie demonstrujące masy kobiece wywalczyć zdołają prawa, o które dziś tak grzecznie dopraszają się panie z petycyami.

Lecz czy nie zlękną się one demonstracyi publicznych i wspólnych pochodów z proletaryuszkami?

Polka, o ile jest jeszcze „panią", lęka się śmieszności, jest zanadto subtelna, zanadto kobieca, a przedewszystkiem zbyt rozlubowana w problematycznem królowaniu w swoim domu.

A jest to pilnowanie grzędy —

Nawet u tych, które mają coś z orlicy.

Wyzwoliły się już z tego Szwedki, Angielki, Amerykanki, nawet Niemki, — te z nich oczywiście, które już raz przecie wyjrzały za podwórko swoje.

A u nas, choć już od lat dwudziestu kilku organizują się kobiety w stowarzyszenia feministyczne, — pozostały z usposobienia, z nawyknień i uprzedzeń, — takiemi, jakiemi były.

...„Podejmowano już wielokrotnie usiłowania, aby zszeregować u nas kobiety do wspólnej walki. Zawiązywano różne stowarzyszenia, które rozwijały się czasem pomyślnie, sporadycznie, — od wypadku do wypadku, — zdobywały się na dużą energię i ruchliwość; ale gdy chodziło i chodzi o pracę stałą, konsekwentną, wytrwałą, dopisują zaledwie jednostki".

Przytoczyłam oto wyjątek z przemówienia p. Maryi Dulębianki, wypowiedzianego na wspomnianem wyżej zgromadzeniu.

Niestety, miała słuszność, tak mówiąc.

„Gdy chodzi o pracę stałą, konsekwentną, wytrwałą, dopisują zaledwie jednostki".

Czy nie tak?

Oto przykład bardzo bliski:

Kiedy ogłosiło się w gazetach i wzywało zaproszeniami, aby zebrały się kobiety lwowskie dla posłyszenia sprawozdań przewodniczącej delegatek, które imieniem dwudziestu stowarzyszeń kobiecych, wręczyły marszałkowi Sejmu petycyę z żądaniem równych praw wyborczych dla wszystkich obywateli bez różnicy płci, — kiedy zdawać się mogło, że jest to przecie sprawa, która żywo obchodzi kobiety zszeregowane w dwudziestu stowarzyszeniech, — zjawiło się na to posiedzenie aż dziesięć pań!

To już nie smutne, to poprostu wstydzi i upokarza.

Więc cóż?...

Dwadzieścia stowarzyszeń kobiecych podpisało petycyę — delegatki ubrały się uroczyście i uroczyście petycyę wręczywszy gdzie należało, powróciły do domu.

Przypomina mi się tragedya, — nasza narodowa tragedya.

...Przychodzi Ktoś i chce budować świątynię. Natychmiast więc wznoszą dekoracye i budują kulisy. Gromadzą się też figury różnorakie i zajmują pozycye. Zaczyna się gra, każdy wypowiada swoją rolę i milknie. Słuchać tylko smutno. Atoli w chwili, gdy czeka się na czyn, złudzenie świątyni znikało, był teatr — figury przemawiające tak pięknie, to byli aktorzy. Skończyli swoją rolę, jaką mieli zagrać, zdjęli kostyumy i poszli do domu.

To jest nasza tragedya narodowa.

Pokazują to jako widowisko w teatrze i publiczność bije brawa. Nie rozumieją, że Ten, który tej tragedyi dał obraz i słowo, cisnął im to w twarz, jak policzek.

A co?... Nie miałyście panie odwagi przyjrzeć się dokładnie naszemu szczęśliwemu porozumieniu.

Wiem — teraz powstanie krzyk w obozie; posypią się sprostowania, które sprostowaniami nie będą. — Niewłaściwie, na zewnątrz, zużyje się tej trochę energii, której potrzebujecie panie tak wiele wewnątrz, w obozie swoim.

Chcecie walczyć — a więc walczcie, ale nie ze mną, bo przecie idę z wami, choć nie razem idziemy.

Nie z tymi walczcie, co — choć burzyć przychodzą — budować chcą z wami razem.

G r o m a d ź m y s i l n i e z w a r t ą, w y s z k o l o n ą a r m i ę i ś c i ą g a j m y p i e n i ą d z e, s k ą d s i ę d a!

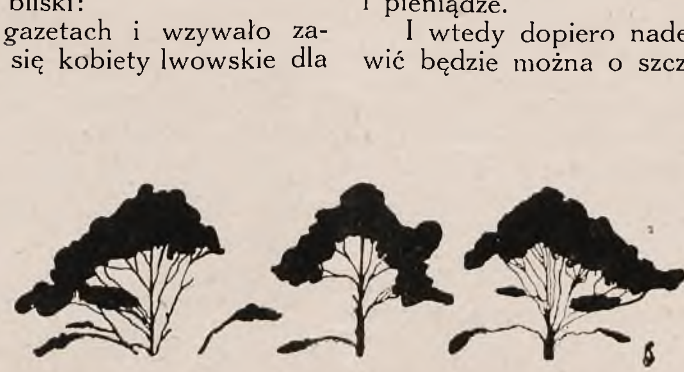
Takie powinno wyjść hasło od stowarzyszeń kobiecych z centrum.

Bo tam, na krańcowo przeciwległych platformach, gromadzą się potężne siły.

Same nic nie zdziałacie, musicie mieć sprzymierzeńców —

A wtedy i wy musicie posiadać armię gotową i pieniądze.

I wtedy dopiero nadejdzie chwila, kiedy mówić będzie można o szczęśliwem porozumieniu.



S. AUERBACH.

LISTY Z PARYŻA.

VII.

Stary i nowy gabinet. — Intrygi Brianda i Clemenceau. — Charakterystyka rządów i osoby pana Caillaux. — Plutokratyczny charakter poprzedniego rządu ustępuje miejsce nacyonalistycznemu obecnego. — Sprawa amnestyi Gustawa Herve'go i in.

W poprzedniej korespondencyi („Ż y c i e" z dnia 16. grudnia) odsłoniłem przed czytelnikami zakulisowe intrygi Brianda i Clemenceau, zdążające do obalenia gabinetu Caillaux. Zaznaczyłem, że temu ostatniemu udało się c h w i l o w o odeprzeć ataki: jednego, Clemenceau, zdyskredytował Caillaux przez brutalną zdradę tajemnicy ministeryalnej: mianowicie, że ex-premier „demokratyczny" (naturalnie!) posługiwał się szpiclami i prowokatorami, których osobiście przyjmował w swojej kancelaryi i którym sam wyznaczał odpowiednie sumy pieniężne za „dostarczone policyi śledczej informacye" z życia syndykalistów francuskich... Drugiego, Brianda, chciał Caillaux skompromitować sprawą Flachona, osobistego przyjaciela Arystydesa, skazanego świeżo na rok więzienia za... zgwałcenie nieletnich dziewcząt — utrzymywanie tajnego lupanaru pod Paryżem — kupczenie prostytucyą i prostytuowanie w prawdziwie zwierzęcem znaczeniu tego słowa... Dodać przytem należy, że p. Flachon w chwili aresztowania piastował godność naczelnego redaktora wolnomyślnej gazety „*Lanterne*". Otóż chwilowo udało się panu Caillaux dwóch najniebezpieczniejszych swoich wrogów — powalić, ale bez umocnienia egzystencyi gabinetu, któremu przepowiadałem rychły zgon. Warto zresztą przytoczyć słowa z poprzedniego listu[1]): „Caillaux dopiął swego: agitacya, zdążająca do obalenia go, na czele której stał Clemenceau, obecnie znakomicie osłabła, jakoż nie słychać o krytycznem stanowisku. Ale myliłby się, ktokolwiekby sądził, że pozycya Caillaux jest zbyt mocna. G a b i n e t t e n u p a d n i e p o d c i ę ż a r e m s k a n d a l ó w, k t ó r y c h n a b r a ł a s i ę t a k a g ó r a i k t ó r e z d r a d z a j ą t a k o k r o p n ą w o ń o s z u s t w, s z a c h r a j s t w, ł u p i e s t w, a n a r c h i i, p r z e k u p s t w a, że ten stan rzeczy d ł u ż e j t r w a ć n i e b ę d z i e". 16. grudnia ukazały się w druku te słowa i prędzej niż przypuszczałem, bo już 10. stycznia gabinet Caillaux ducha wyzionął.

Niechaj mi tedy pozwolonem będzie przynajmniej w kilku wierszach zreasumować i niejako scharakteryzować rządy gabinetu, który w dziejach III. Rzeczypospolitej zajmie jedną z najbardziej ponurych, najbardziej tragicznych stronic, opiewających jak to w Republice demokratycznej kohorta fachowych spekulantów i parweniuszów rządziła rozbojem, gwałtem, opresyą, drąc na szmaty sztandar wolności zdobyty w potokach krwi przez bohaterski lud francuski...

Powołany na szefa gabinetu po upadku szczerze liberalnego ministeryum Monisa, Caillaux odrazu zaznaczył w swojej deklaracyi ministeryalnej, że chce być *un gouvernement qui gouverne,* co w bardziej przystępnej formie oznaczało, że będzie r z ą d z i ł w całem znaczeniu tego słowa: energicznie, surowo, stanowczo. Istotnie, były to rządy energiczne. Ale cała energia, surowość i krwawy temperament Caillaux zwrócone zostały w jednym tylko kierunku: w stronę klasy robotniczej i ruchu emencypacyjno-rewolucyjnego. Zadaniem jego (Caillaux) było rozwiązać C. G. T. (Ogólną Konfederacyę Pracy) i zamknąć usta wszystkim śmielszym publicystom, stosując względem nich tak podłe środki represyi, jakich nie powstydziłby się ś. p. oprawca Stołypin. Zresztą leżało to w interesie samego Caillaux, który stał na czele olbrzymiego trustu finansowego, pobierając od czterech tylko banków rocznej pensyi około 700.000 franków. (Pisałem o tem w „Ż y c i u".) Cytował fakt ten deputowany Delahay w Izbie, a b. minister, obecnie senator, Camille Pelletan, mnie osobiście oświadczył: „Represye są zupełnie zrozumiałe, bo ministeryum Caillaux znajduje się pod wyraźnym wpływem Wielkiej Finanseryi".

Recz jasna, że nie mogę w ramy jednego artykułu wtłoczyć enumeracyi wszystkich gwałtów Józefa Caillaux i jego ministra sprawiedliwości Jana Cruppi. Nad kilku jednak zatrzymam się.

Otóż przedewszystkiem wsadzono do więzienia razem z sutenerami i apaszami trzech sekretarzy C. G. T., Viau, Dumont i Baritaud, pod pretekstem, że zajmowali się propagandą antymilitarystyczną, w istocie jednak aresztowano ich akurat w przededniu strajku robotników budowlanych, przez co oczywiście strajk ten skończył się przegraną robotników, którzy w dodatku stracili towarzysza, zabitego przez łamistrejka.

Współpracownicy redakcyi „*La Guerre Sociale*" wykryli, że w łonie rewolucyonistów uwijają się szpicle i prowokatorzy. Sprowadzono ich do redakcyi i tam, w obecności przedstawicieli zdemaskowali trzech p r o w o k a t o r ó w, którzy podkładali bomby, odkręcali szyny na drogach żelaznych, wywoływali przelewy krwi na demonstracyach etc. Za ten czyn aresztowano wszystkich prawie współpracowników „*La Guerre Sociale*" (niektórzy uciekli do Belgii), traktowano ich na równi z bandytami i zbrodniarzami, wreszcie, po daremnych próbach zniszczenia organizacyi, wydającej pismo, sąd wydał wyrok — uniewinniający.

Najpotworniejsze jednak prześladowania skoncentrował rząd p. Caillaux na osobie Gustawa Hervé. Najsamprzód przetransportowano go z więzienia *La Santé* do więzienia w *Clairvaux,* gdzie stosowano względem niego wszystkie okrucieństwa policyjne. Potem sprowadzono go znowu do Paryża i zamknięto w małej celi bez powietrza, bez światła, a ciasnej, jak grób. Hervé nie mógł w celi tej przygotować swej obrony i dlatego pozwolił się skazać zaocznie. Ostatecznie, do 4-ch lat dodano mu jeszcze 2 i pół roku — — za artykuły dziennikarskie, za to, że naiwny Hervé sądził, że w III. Rzeczypospoiitej istnieje wolność słowa.

Zdarzył się również za rządów p. Caillaux i taki wypadek: rysownika Grandjouan za rzekomo antymilitarystyczny r y s u n e k (a czyż tak trudno doszukać się antymilitaryzmu w wolno-

[1]) „Życie" Nr. 51.

ściowem wystąpieniu?) skazano na 2 lata więzienia! Grandjouan uciekł przed władzami Republiki zagranicę, taksamo, jak wy uciekacie przed władzami pp. Stołypina i Kokowcewa. Ciekawem, kto na kim wzoruje się: czy ci ostatni na panu Caillaux, czy p. Caillaux na tych ostatnich?...

A oto wymowniejsza jeszcze historya, o której pisałem już kiedyś w „Życiu".

Są to dzieje zeszłorocznego strajku kolejowego. Jak wiadomo Briand, ówczesny prezes ministrów a dzisiejszy wice-prezes gabinetu, zaaresztował cały komitet strajkowy. Towarzystwa kolejowe, mając tak wszechstronne i skuteczne poparcie rządu, wydaliły przeszło 3000 kolejarzy (ojców rodzin) za udział w strajku. I do dzisiejszego dnia kilka tysięcy osób, cierpiąc ostatnią nędzę i wszystkie klęski bezrobocia, znajduje się na bruku. Liberalny gabinet Monisa, zwłaszcza minister robót publicznych Karol Dumont, przedsięwziął cały szereg środków, aby zmusić Towarzystwa kolejowe do reinstalacyi odwołanych kolejarzy. Ale w toku tych zachodów — gabinet upadł. Następcą jego był — Caillaux. No i on odrazu pogrzebał całą sprawę! Przedewszystkiem wyrzucił ze swojego gabinetu ministra Dumonta, a następnie oświadczył już wyraźnie, że skoro Towarzystwa nie chcą przyjąć z powrotem kolejarzy, to państwo nic tu poradzić nie może. Sprawa ta jest bardzo charakterystyczna: okazuje się, że parlament i społeczeństwo musiały kapitulować przed omnipotencyą kliki plutokratów. Szlachetny Pelletan, który nie może pogodzić się z takiem pohańbieniem Republiki, napisał, z okazyi Nowego Roku, przepiękny artykuł: *Les étrennes des cheminots*. Cały ten artykuł — to głucha rozpacz i boleść. Rzuca on straszne oskarżenie pod adresem Caillaux: „*L'attitude prise par le gouvernement* — cytuję dosłownie — *n'est pas seulemeut contraire au programme économique et social qu'il affirme vouloir servir, elle est encore antirepublicaine*". Pelletan konstatuje wzrost sił monarchicznych i... niebezpieczeństwo dla Rzeczypospolitej. Oto jeszcze jedno zdanie dosłowne obecnego senatora, zdanie, które reasumuje dzisiejszy plutokratyczny charakter Republiki i zamachy na nią za strony — republikanów (oczywiście à la Caillaux). Podkreślam je samowolnie, chcę bowiem, aby nad niem wszyscy myśleli:

Une République qui se fait plutocratique est condamné a se trahir elle meme.

Na zakończenie ostatnie *coup* pana Caillaux.

Były deputowany, Paweł Vigné d'Octon, został wysłany do Afryki z ramienia rządu (b. ministra Pichona) dla zbadania istniejącego tam stanu rzeczy. Vigné d'Octon wrócił — przerażony.

— O zgrozo! o zgrozo! — woła on na zebraniach — dlaczegoż spadło na mnie to przekleństwo, abym urodził się Francuzem i aby mi danem było patrzeć się, jak na dalekiej ziemi afrykańskiej, gdzie daktyle karmią, a palmy zasłaniają przed żarem piekącego słońca, dlaczegoż danem mi było być świadkiem, jak w tych malowniczych krajach zabijają, mordują, torturują, gnębią, palą, topią w strumieniach krwi całe pokolenia nieszczęśliwych Arabów, starców, matki, dzieci, jak ich martyryzują w imieniu... republikańskiej Francyi, jak ich pożerają tygrysy i szakale w rodzaju panów Mougeot, de Fages, Destailleur, Gallieni i t. d., i t. d., i t. d.?!...

Tak woła Vigné d'Octon na zebraniach, tak pisze on w swoich artykułach i książkach, opierając się na własnych obserwacyach i dostarczonych mu dokumentach — ze strony osób urzędowych, którym sumienia nie pozwalają milczeć, gdy dokonywane są pod ich okiem tak krzyczące o pomstę do Boga zbrodnie. W swoim gabinecie na ulicy Débarcadére konferował ze mną Vigné d'Octon i przedstawił mi cały szereg świadectw autentycznych (o nich i o książce *La Sueur du Burnous*, przy czytaniu, której włosy dębem stają, napiszę wkrótce do „Życia"). Otóż ten właśnie krzyk protestu i bólu, krzyk zgrozy, który rozsadza piersi szlachetnego syna wielkiej Francyi, niegdyś apostołki wolności i uciśnionych, krzyk ten nie podobał się panu Caillaux. Cóż więc robi? Korzysta z chwilowej nieobecności Vigné d'Octona w Paryżu (jeździł on w owej chwili po romaitych miastach Francyi, opowiadając cywilizacyjną[*]) misyę Republiki na ziemiach kolonialnych), aby w osobie komisarza policyi i ślusarza wyłamać drzwi w mieszkaniu nieobecnego Vigné d'Octona — i wykraść mu wszyskie będące tam dokumenty i papiery!... Oto jak postępują dzisiaj rządy *soi-disant* republikańskie...

A cała prasa postępowa, radykalna, milczy, milczy, jak zakopany w grobie rozkładający się trup — bo istotnie radykalizm francuski — — rozkłada się. Ostatni z radykałów, jeden jedyny, który dźwiga prestiż dawnego radykalizmu, Camille Pelletan, napisał w tych dniach artykuł, który temi rozpoczyna słowy: *J'ai a écrire une courte notice nécrologique: celle du „grand parti radical et radical-socialiste"*. Jest to uroczyste pogrzebanie potężnej dotychczas partyi radykalnej, która rządziła Francyą przez okres 40 lat. Do kompromitacyi tej partyi nikt bardziej nie przyczynił się, jak popierani przez nią Clemenceau, Briand i Caillaux i cała sfora aferzystów, której udało się za pomocą korupcyi przeniknąć do gmachu pałacu Burbonów i zainstalować tam się na dobre i na stałe.

Ostatnim przyczynkiem do charakterystyki osoby i rządów pana Caillaux niechaj będzie ten głośny obecnie *evenement*, że upadł on dlatego, iż prowadził pertraktacye z rządem berlińskim na własną rękę, chcąc przedewszyszkiem zabezpieczyć interesy konsorcyum bankowo-finansowego. De-Selves jest marnym dyplomatą, ale człowiekiem uczciwym. Nie mógł on dłużej patrzeć spokojnie, jak Caillaux zdradza Francyę. Nikt nie chciał objąć teki marynarki w gabinecie Caillaux: czem to sobie wytłumaczyć?

* * *

Nakreśliłem, jak mogłem, syntetyczny zarys działalności poprzedniego gabinetu.

Wypada teraz powiedzieć coś o ministeryum pana Poincaré, przedwcześnie (co najmniej) nazywanem *grand ministére, ministére national*.

Tutaj już trzeba przepowiadać, — prorokować trudno. W dodatku: bynajmniej nie ukrywam swego sceptycyzmu. *Ex uno disxe omnes* — mówi stare przysłowie łacińskie. Chociaż o panu Poincaré mówią naogół dobrze i przychylnie, to jednak wszelkie zastrzeżenia, wynikające z punktu widzenia inte-

[*]) Raczej: syfilizacyjną.

resów demokracyi, poczynić trzeba. W dzisiejszym stanie rzeczy są one nawet konieczne. To też z wyrażeniem sądu o obecnym gabinecie wolę wstrzymać się, poczekać do czasu, aż p. Poincaré uczyni coś konkretnego.

Tymczasem powiedzieć można tylko tyle, że „znakomitości" obecnego gabinetu — zawisły w powietrzu: ani jedna z tych znakomitości nie odważyła się dotknąć ziemi. Wszystko jeszcze jest mgliste, otoczone obłokami. O ile z jednej strony Leon Bourgeois ma być gwarancyą szczerze demokratycznej polityki gabinetu, o tyle z drugiej p. Arystydes Briand jest gwarancyą zdrady i gwałtu. Dla nikogo zaś nie jest tajemnicą, że wpływy i temperament tego, którego nazwano: *Renegat par excellence et l'Excellence des renegats*[3]), odniosą zawsze i wszędzie górę nad lekceważoną powagą i słabością nawet szlachetnych charakterów a la Bourgeois. O innych „znakomitościach": Delcassé, Millerand, Dupuy, Steeg, Klotz, Guist'han powiedzieć można tyle, ile o skrzydłach wiatraka: obracać się będą w tę stronę, w którą gnać ich będzie wicher premiera. To też cała uwaga koncentruje się na osobie tego ostatniego. O nim zaś wiadomo napewno, że jest człowiekiem poglądów umiarkowanych, nikt zaś nie jest pewny, czy poglądy te są uczciwie umiarkowane, czy też, stosownie do okoliczności, mogą zabarwić się na kolor purpurowy albo błękitno-czarnawy.

Na porządku dziennym obecnej sesyi parlamentarnej znajduje się sprawa reformy wyborczej w duchu reprezentacyi proporcyonalnej. W deklaracyi ministeryalnej przyrzekł p. Poincaré, że będzie ją popierał bez zastrzeżeń. Wkrótce potem ma być dyskutowana sprawa podatku dochodowego, sławetne *impot sur le revenu*. Poczekajmy tedy nieco, a przekonamy się o prawdziwych intencyach pana premiera.

W kuluarach parlamentu rozmawiałem z pewnym znanym deputowanym; zainterpelowałem go w sprawie gabinetu. Odpowiedział lapidarnie: — *Le ministère est national...iste.*

I to jest istotnie wszystko, co o dzisiejszym gabinecie francuskim w chwili obecnej powiedzieć można.

* * *

W więzieniach Republiki przebywa cały legion osób nieprawnie skazanych. Są to przeważnie publicyści, nauczyciele, syndykaliści, skazani bądź za artykuły, bądź za przemówienia na wiecach. Otóż utworzył się komitet, którego zadaniem będzie agitować za amnestyą tych „przestępców". Głównie zaś chodzi o Gustawa Hervé, od 2-ch lat trzymanego w więzieniu za artykuł dziennikarski i mającego jeszcze przesiedzieć 4 lata z okładem.

W tych dniach przedstawiła się premierowi deputacya, wysłana przez wspomniany powyżej komitet. Do deputacyi należeli tacy pisarze, jak np. Henryk Rochefort, Oktawiusz Mirbeau, Jacques Dhur, Leon Bailby i in. P. Poincaré przyrzekł zająć się z „całą bezstronnością" sprawą amnestyi redaktora „*Guerre Sociale*". Ale Gustaw Hervé, dowiedziawszy się o tych zachodach, wystosował natychmiast list do premiera, uprzedziwszy go, że „nigdy nie zaakceptuje amnestyi indywidualnej". Albo ułaskawić wszystkich „przestępców prasowych" albo nikogo. Tak woła z głębi celi więziennej dumny i otoczony powszechną czcią głośny antymilitarysta.

Co będzie dalej — zobaczymy.

[3]) Por. „Życie", List I.

STEFAN GACKI.

SPÓR O WPŁYWY.

W prasie naszej toczy się obecnie spór o wpływy, którym ulega, czy ulegać powinno nasze życie, nasza literatura i sztuka. Historyczna strona tego sporu jest dość nieciekawa, ale nastrój, który go zrodził — bardzo znamienny. Przypomina mi on przykre wrażenie, które przeżyłem gdzieś, kiedyś — w jesienny słotny wieczór, gdy zziębnięty i przemoczony schroniłem się do pierwszej lepszej napotkanej kawiarni.

I tu wciskał się jesienny wilgotny chłód i mieszał się z dymem papierosów; i tu zaglądał z ulicy chłodny mrok i kłócił się z jaskrawem światłem lamp elektrycznych. Jakaś tęsknica rospięła się po ścianach, zamroczyła lustra; garçoni stąpali wolniej niż zwykle; ruchy ich straciły giętkość i tę charakterystyczną gotowość do posługi, do spełnienia rozkazu; nawet platerowane tacki w ich rękach straciły teraz połysk, jakgdyby i na nich osiadła wilgotna mgła jesieni. Goście siedzieli w jakichś dziwnych pozach, zgięci, powtulani w podniesione kołnierze palt. W kącie grała muzyka. Nikt jej nie słuchał, nikt nie zwracał na nią uwagi. Po krótkiej przerwie ozwała się nieśmiało wiolonczela. Grał jeden tylko, jakiś wynędzniały, źle ogolony mężczyzna, inni wypoczywali. Nie pamiętam, co grała wiolonczela, bo dźwięki jej zlewały się z chłodem i mrokiem płynącym z ulicy, z nudą i tęsknicą, którą wnieśli tu ze sobą spędzeni na chwilę pod wspólny dach ludzie. Jakieś przygnębienie płynęło z tych dźwięków i skargi niewypowiedziane i żale nieutulne. I chwytały za gardło, darły za włosy i o ziemię ciskać się zdały — w proch, w pył. Jedna za drugą podnosiły się głowy, zdziwione, jakby lękiem zdjęte, patrzyły chwilę w stronę, skąd płynęła muzyka, następnie opadały głębiej jeszcze niż przedtem — pokonane, skute jakimś bolesnym bezwładem, stężałe w poczuciu jakiejś wspólnej rozpaczy, wydobytej na wierzch przez niezrozumiałe dźwięki i tłoczącej się do głowy i krtani. Osłupienie to trwało już chwil kilka. Może byłyby je przerwały łkania. Może ci ludzie zaczęliby byli uciekać stąd precz, precz przed sobą, przed tą muzyką, która może wcale nie istniała, przed tą myślą, tą rozpaczą, której może w nikim tu nie było i nagle tylko zjawiło się jej przeczucie...

W tem z kąta sali ozwał się krzyk — przeraźliwy, cyniczny, krzyk, w którym tyleż może było cierpienia, co jakiegoś sprośnego zbydlęcenia. „Graj *Matchiche*, graj *Matchiche*, wołała jakaś postarzała kokota w czerwonej, jaskrawej sukni i ogromnym, czarnym, ze strusiemi piórami kapeluszu. Ocknęli się nagle wszyscy. Jedni powstawali i z głupkowatym uśmiechem zwracali się do sąsiadów, inny przecierał czoło, widocznie szukał czegoś w pamięci, pytającym wzrokiem wodził po ludziach i ścianach.

Okrzyki „graj *Matchiche*" zagłuszyły granie...

Gdy ze szpalt prasy polskiej, a zwłaszcza warszawskiej ozwały się nawoływania: nam trzeba literatury pogodnej i jasnej, nie trujmy sobie dusz!, przypomniała mi się ta dawno przeżyta scena.

Nawoływaniom tym towarzyszyły fakty: kabaret stał się narodową akademią bezmyślności, tępiącą skwapliwie trujące zalążki jakiejkolwiek myśli; po Sherlockach przyszła kolej na tłómaczenia Claudine'y i Afrodyty. A jednocześnie na łamach pism wszczęła się teoretyczna wymiana zdań na temat, czem obsiewać i co wypleniać z narodowych pól. Nie była to jedna z tych jałowych dyskusyi, które pomysłowy dziennikarz wynajduje czasami, by zająć swego czytelnika. Nie był to jeden z tych ogłupiających sporów o brodę Mahometa, które tak często toczą się na tle naszego usypianego i uśpionego życia. Sprawa zasługiwała na poważne zastanowienie się i domagała się wyraźnych odpowiedzi nawet w teoryi.

Dusza polska zawahała się raz jeszcze między Wschodem i Zachodem i — *noblesse oblige* — pomna swych chlubnych związków z przeszłości, znowu się chyba, bodaj oficyalnie, ku Zachodowi przechyliła. Sfałszowano przed nią widnokręgi, jako dwa nędzne szematy przedstawiono jej to, co jest nieobjętością i całem bogactwem życia, wykreślono dla niej sztuczne, nieistniejące granice i kazano jej wybierać między bajkowo pięknym Olimpem i legendarnie ponurym Hadesem. Z mnogości zjawisk, z całej różnorodności prądów trwających w każdem środowisku ukuto sobie dwie antytezy, dwa światopoglądy — jakże łatwo było wtedy oświadczyć się za jednym z nich.

Z pod fantastycznie nastrojonej dłoni polskiego dziennikarza wypłynęły dwa zbrojne hufy, dwa szeregi skrzydlatych duchów i lśniące lance wbiły sobie wzajem w błyszczące pancerze. Jak w naiwnem mysteryum mroczna Północ z barbarzyńskim sprzymierzona Wschodem szła na bój z pogodnym Zachodem i jasnem Południem. Z jednej strony kroczył chmurny, jak bóg z północnej sagi Dostojewski na czele poszarpanych, z wzrokiem utkwionym w sobie pół-bogów, pół-trupów, a z nimi cała drużyna Wikingów skandynawskich pod wodzą Hamsunów, Ibsenów, Strindbergów.

Z drugiej strony, jak w teatralnej apoteozie, ustawiono to wszystko, co dziedzicem jest i kwiatem starej kultury-rycerzy i trubadurów, co zwolna promieniowało przez duszę króla-szlachcica i dostojnych jego *valets de chambre* na lud i kraj dojrzewający w słońcu zdobywanych swobód i bogactw do coraz to wyższych form zbiorowego życia i pracy.

Z jednej strony postawiono literaturę rosyjską i pokrewny jej strumień ideowy płynący ze Skandynawji — z drugiej kulturę zachodnio-europejską, a przedewszystkiem francuską i bez zastrzeżeń chwycono się tej ostatniej, dopatrując się jej wpływów nawet u pisarzy tak nawskroś samorodnych, jak Wyspiański.

Był to również moment do wygrania patryotycznego kuranta na temat obcości duszy rosyjskiej, która na żadną wspólność z nami liczyć nie może.

Ale co przeważyło przedewszystkiem, to ta chórzliwa dusza polskiego mieszczucha, która nie tylko sama wystrzega się wszystkiego, co chce ją wyrwać z bezwładu, z bezmyślności, z lubieżnego snu po nasłuchaniu się pieprznych anegdot i zgrabnych piosenek popartych widokiem zgrabnej łydki, ale z tego swego tchórzostwa chce robić kanon obowiązujący dla całego społeczeństwa.

Dostojewski czy Czechow, Hamsun czy Ibsen, to wywrotowcy, zmory duszące, przed któremi zamknąć trzeba drzwi domu i okna duszy. O ileż trwalsze i spokojniejsze będzie działanie na naszą duszę przepojonych odwieczną kulturą, pogodzonych z nią i wypogodzonych przez nią France'ów, de Regnierów, Lottich, Mirbeau, a dalej, a głębiej — Goncourtów, Flaubertów, Ernestów Hello, Mussetów, Victorów Hugo i jeszcze dalej przez wieki złote, przez plejady gwiazd pierwszej wielkości, aż hen do mistrzów Langedoku i Prowancyi. Jaki obszar, jak hojnie obsiewany i jak bujnie rodzący i to ciągle, bez przerwy, przez wieki!

Zamroczyły się oczy polskiego mieszczucha od takiego bogactwa, od powagi tylu sławnych dźwięków, a że je znał ze słyszenia przynajmniej, więc by się chętnie do krewieństwa, do dziedzictwa po nich przypisał. Spojrzał na odwrotną scenę medalu, który mu prezentowano, przypomiał sobie parę urywków z „Idyoty" lub z Hamsunowskich „Mysteryów", których nie mógł doczytać do końca, bo go zemdliło ze strachu przed samym sobą, przed tem, co śpi może ukryte w nim samym i zapomniał, że w ślad za France'm lub Flaubertem rozlewa się po świecie literatura Willych i Loüys'ów i... Albo raczej nie, nie zapomniał o niej, przeciwnie, uśmiechnął się w jej stronę dyskretnie i porozumiawczo i jeśli oficyalnie przechylił go na swą stronę blask wielkich imion, to właściwie o wspólności duszy polskiej i francuskiej przekonały go te szelmowskie dreszcze, którym oprzeć się trudno.

I mieszczuch zatryumfował; wypowiedziała się osławiowa, nieomylna większość. Więc kryjąc się za jej autorytet, schlebiając jej upodobaniom, po scenach naszych wyprawiać będą harce firmy francuskie — de Flérsy i Caillavety; będziemy tęsknili do kabaretu paryskiego, parodjując go na niemiecki, tingel-tanglowy ład; tłómaczyć będziemy nie France'a czy Flauberta, ale La femme et le pantin. Nie przeflancujemy do Polski ducha francuskiego w najszczytniejszych jego przejawach, z Zimnej Wody nie zrobimy Wersalu czy Saint-Cloud, nie przeciwstawimy go szarpiącym wichrom zwątpienia i beznadziejności, które przesiąkają do nas z Rosyi czy ze Skandynawji, ale otworzymy granicę przed tem, co czyni nas jeszcze mniej odpornymi na te wiatry, będziemy dalej deprawowali smak i stosunek do życia naszego ogółu.

Francya, jak każdy inny kraj, rozwijający się w normalnych warunkach, nie jedno ma oblicze; potężny gmach jej ducha wystrzela dumnemi,

w podniebny strop godzącemi wieżycami — ale w nich niema nic z tej osławionej pogody czy jasności, o której prawią nasi polscy paryżanie z ducha. Sam z oburzeniem, któremu publicznie dawałem wyraz, byłem świadkiem okrucieństw i wandalizmów dokonywanych u nas przy tłumaczeniach dzieł francuskich na język polski. Przypominam sobie, jakie orgie wyprawiano u nas z przekładami Mirbeau. Jakże niepodobnym jest ten drwiący, szydzący, chłoszczący, żywe ciało swego narodu szarpiący — prawdziwy Mirbeau — do tego pornografa, za którego wydać go chciano w Polsce. Tak więc fałszuje się nietylko pojęcia ogólne, ale następnie dostraja się do nich przez nowe krzywdy ludzi i ich dzieła.

Dlatego też, gdybym na chwilę chciał nawet stanąć na gruncie tak niesłusznie wykreślonych, nieodpowiadających realnym wymiarom szematów, to wtedy nawet dla „polskiej powierzchowności" (boć i tu musimy teraz wprowadzić utarty szemat) bałbym się najbardziej francuskiej lekkości i pogody.

Ale inne przedewszystkiem zajmuje mnie tu pytanie. Możliwość, konieczność bliższych i dalszych wpływów jest nieodzownym warunkiem wszelkiego rozwoju... Skąd jednak płynie ta potrzeba szukania ich, to oglądanie się za nimi? Czy życie nasze wykazuje rzeczywiście konieczność zasilania go przez obce wpływy i działania? Czy świadomie i własnowolnie zalać mamy obcym dorobkiem dziedziny naszej duchowej wytwórczości, tak jak obcym kapitałem i żywiołem zaleliśmy już nasz przemysł i handel? Więc czemuż jak pajac staje znów myśl polska wobec tego pytania, jak pajac, którego kupić i przekupić można: kto da więcej, ten mnie ze sobą zabierze.

Przecież my mamy dom własny, a że go własnemi podpierać musimy, by się na głowy dzieci naszych nie zawalił, to od tego wysiłku pierś nam jeno tężeje i szermierz się u nas bohaterem, poeta-wieszczem staje. Jeden nam wielki ból wszystkie serca tłoczy, ale też zespala, w jeden rytm wkuwa wszystkie zamierzenia i wysiłki i wytyczna naszego życia na najbliższą przynajmniej przyszłość jasna jest każdemu, a zboczyć z niej może tylko ten, kto się z szeregu wysunie.

Że nam wiele zabrano, my też co dnia, co godziny stwierdzamy, że nam o wiele więcej jeszcze pozostało i obcym bogom kłaniać się nie mamy potrzeby. Życie nasze jak żadne inne bogate jest w ból i rozpacz, w zawody i nadzieje, w zwątpienia i wysiłki, a echa, w których się one reailzują, zwą się Żeromski, Sieroszewski, Strug, Miciński-Radliński, Świętochowski, a jeszcze dawniej Słowacki, Mickiewicz. Ten wielki tum narodowego bytu i bolu nie da się „rozpogodzić", ani nawet poplamić.

Doroślismy do tego, by módz czerpać zewsząd, więc czerpmy, gdzie komu wola, ale to u nas może być wielkie i będzie trwałe, co się naszą krwią czerwieni i rumieni, bo dla Polaka jest przedewszystkiem Polska, a Polska — to wielka rzecz.

TARAS SZEWCZENKO.

W WIĘZIENIU LICZĘ DNI...

W więzieniu liczę dni i noce,
Już i liczyć trudno!
O Boże mój!, jak te wszystkie
Dni mijają nudno!
A za niemi rzeką cichą
Płyną moje lata
I unoszą zło i dobro
Hen na krańce świata;
W dal unoszą, by nie zwrócić
Już nigdy niczego...
I nie módl się, bo przepadnie
Modlitwa do niego.

Pośród burzanów błotną rzeką,
Za porą tą, co już daleko,
Upłynął smutno trzeci rok;
Trzy lata te uniosły w świat,
Com jeszcze w ciemnej krył komorze,
Cichaczem zniosły w morze, w mrok;
I cicho pochłonęło morze
Nie złoto, ani srebrny grad —
Jedyny ten mój skarb i plon,
Tę nudę mą, te moje żale
Te niewidzialne me skrzyżale..,
Niewidny pisał mi je trzon...
Oto czwarty rok już mija
Cicho i powoli,
Czwartą z rzędu rozpoczynam
Księgę tu w niewoli
W hafty wzorzyć... Wyhaftuję
Własną krwią i łzami
Mą niedolę na obczyźnie:
Słowo tylko mami,
Słowem nigdy opowiedzieć
Nikomu nie zdolę
Przekleństwa życia! Niema słów,
By wyznać niewolę!
O niema słów i niema łez,
Przeszła wszelka trwoga,
Już niczego niemasz wokół,
Niemasz nawet Boga.
Niema na czem ócz zatrzymać;
Przed kim zwierzyć duszę?
Żyć obrzydło mi na świecie,
A żyć muszę, muszę!

Spolszczył SYDIR TWERDOCHLIB.

EDMUND SEMIL.

SPRAWOZDANIA.

Bronisław Minkowicz - Wysoczański: „W y k l ę c i“ — t r y p t y k d r a m a t y c z n y — L w ó w 1912. N a k ł a d e m H. A l t e n b e r g a, s t r. 108.

„Osią całego życia jest miłość i śmierć“ — powtarzał Przybyszewski. — Dla p. Wysoczańskiego osią wszelkich zawikłań dramatycznych jest kobieta i pieniądz. — Może ma słuszność gdy sobie tak upraszcza punkt widzenia, może ma słuszność tembardziej, że każde zawikłanie staje się wyraźnem, prostolinijnem, łatwem do zrozumienia i... akcyę dramatu niezmiernie wygładza, czyniąc ją zajmującą.

Cały tryptyk dramatyczny p. Wysoczańskiego przeprowadza konsekwentnie zasadniczą ową myśl z całą ścisłością, może ze szkodą dla charakterystyki osób, jednak z werwą dramatyczną i temperamentem.

Pierwsza część rozgrywa się w raju. Ewa skuszona przez Adama oddaje mu swą miłość. Miłość — grzech! Za ową miłość musi przyjść kara — Bóg wypędza pierwszych ludzi z raju rzucając im „klątwę miłości i złota“, z litości darząc ich śmiercią.

Z stygmatem klątwy w duszy idą ludzie w przyszłość, w życie, w pracę.

Stygmat miłości i złota wybija się i na duszy Ryngolda, litewskiego księcia, który żonę chcę zabić aby módz inną poślubić. Czynowi jego przeszkadza tylko jej przedwczesna śmierć wespół z kochankiem Joanem (alchemikiem, który Joanowi miał złoto zrobić, aby mógł miłość Juliany pozyskać) w komnacie przesyconej wonią zabójczą kwiecia jaśminowego. Ryngold dowiaduje się o ich śmierci — lecz nie zna innego okrzyku jak (podobny do okrzyku Borowicza w Karykaturach) — Joan nie żyje... któż mi zrobi złoto?!...“

Trzecia część rzucona jest na tło parku w Monte-Carlo. Bolek przegrał cały majątek, zabiera od żony swej Anki ostatnie tysiąc franków i bieży grać dalej. Anka stroskana, oczekuje go, dostaje tymczasem pieniądze od barona Waydolta — lecz gdy je chce dać mężowi — zastaje tylko jego zwłoki.Drze banknoty i krzyczy ochrypłym, złamanym głosem: „Pieniądze, pieniądze, cha! cha! Pieniądze...“

Pominąwszy prostotę przeprowadzenia, zbyt długie niektóre ustępy retoryczne, sztuczność I-szej części, niepotrzebny przepych języka w opisie raju, zbyt wielką „słodkawość“ w charakterystyce bohaterów — tryptyk dramatyczny p. Wysoczańskiego wskazuje, że autor potrafi konsekwentnie, myśl swą przeprowadzić i bronić od obcych tematowi naleciałości.

Z RAPTULARZA.

USTĄPIENIE AERENTHALA zapowiedziane z dnia na dzień od szeregu tygodni przez całą „wojenną“ prasę austryacką stało się wreszcie faktem. Oczywiście twardy to był orzech do zgryzienia ministeryalny żywot człowieka, który co prawda skompromitowany powszechnie i poświęcając „honorowość“ swoich spólników od prowokatora Nastiega do ambasadora Forgaesa (przeniesionego na gorsze stanowisko) wybrnął z brudnej afery zagrzebskiej. I odbijały się też od niego codziennie powtarzane ataki partyi wojennej ciekawego związku generalskich lampasów z kropidłem, pobłogosławionego przez nuncyaturę i wysoko położone osobistości dworu. Dopiero niszcząca jego organizm bielica usunęła tego, którego nawet szczyty wszechwładnego w Austryi klerykalizmu wysadzić z siodła nie zdołały. Ustępując, dożył hr. Aerenthal ostatniego tryumfu. Wniesiona przez niego dymisya nie została przez cesarza przyjętą. Ustąpienie nastąpiło w formie „urlopu“ a następcą jego został j e g o człowiek szef sekcyi Müller. W najbliższym przynajmniej czasie nie pójdą nasi chłopi z nad Wisły i Dniestru ubrani w mundury austryackie wskrzeszać władzę świecką papieża. Panowie z „Danzers Armee Ztg.“ muszą poprzestać na oskomie.

SYTUACYA WĘGIERSKA pozostała dotąd nierozwikłaną. Kuen-Hedervary chwycił się dowcipnego ale tym razem nieszczęśliwego środka. Postanowił zagrać na formalistyczno-narodowej strunie i zatkać t. zw. koncesyami wojskowymi usta opozycyi wołającej o powszechne głosowanie. Stary komik Koszutowców i Justowców zawiódł jednak w ręku premiera. Korona odrzuciła jego żądanie wiedząc, że to opozycyi nieułagodzi i premier wrócił z Wiednia z próżnemi rękami. Prawdopodobnie wybrnie Kuen z sytuacyi przez urządzenie nowych „węgierskich“ wyborów, które są jego specyalnością.

Środka daleko dowcipniejszego chwycił się już świeżo mianowany bar. Cuwaj. Ponieważ świeże wybory kroackie dały opozycyi pokaźną większość rozwiązał sejm przed jego pierwszem posiedzeniem nie rozpisując nowych wyborów. on otwarcie, że nie zostaną rozpisane przed zupełnem uspokojeniem umysłów. Kroacya nie ma §. 14. wedle ustaw wybory m u s z ą być przeprowadzone najdalej w 3 miesiące po rozwiązaniu sejmu; bar. Czuwaj proklamował tedy przez swoje oświadczenie zupełnie otwarte złamanie konstytucyi.

„ŻYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawca: HIPOLIT ŚLIWIŃSKI.

Redaktor odpowiedzialny: ALEKSANDER NAWROCKI.

Kierownik pisma: STEFAN GACKI.

ODBITO W DRUKARNI „PRASY". LWÓW, ULICA SOKOŁA L. 4. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".